Cena 30 groszy. Opłata pocztowa uiszczona gotówką

ZACZYN

TYGODNIK

Nr. 35 (40). Warszawa, czwartek dnia 2 września 1937 r. Rok II.

„Jeden złoty" strat moralnych

(Przemówienie P. Mecenasa Władysława Sobotkowskiego, podpułkownika w st. sp., wygłoszone w dniu 28. VIII. r. b. w obronie redaktora odpowiedzialnego „Zaczynu" w czasie procesu o zniesławienie wyższych urzędników Ministerstwa Skarbu).

Panowie Sędziowie Sądu Okręgowego!

Proces niniejszy należy zaliczyć bezwzględnie do najcięższych procesów prasowych, do procesów, które zmuszają swych uczestników do wytężonej myśli i dużego jej skoncentrowania, aby móc w sposób należyty ocenić, a następnie oświetlić materiał przebogaty pod względem swej treści, który podczas kilkudniowych rozpraw został uzyskany na przewodzie sądowym.

Z największym napięciem swej uwagi słuchałem przemówienia Pana Prokuratora, który wszedł do sprawy niniejszej w charakterze oskarżyciela publicznego. Rola jego w tym procesie była rolą wyjątkowo ciężką, a nawet ściśle mówiąc najcięższą, jeżeli się uprzytomni, że przewód sądowy dostarczył bezsprzecznie tego rodzaju ustaleń, dotyczących sposobu urzędowania w administracji skarbowej, że myślenie przedstawiciela Urzędu Prokuratorskiego chwilami nie może się pokrywać z myśleniem oskarżycieli prywatnych.

To też słuchając przemówień pełnomocników oskarżycieli prywatnych zmuszony jestem oświadczyć, że nie solidaryzowali się oni w znacznym stopniu z P. Prokuratorem krótko mówiąc, nie było zgody całkowitej między Oskarżycielem Publicznym, a Oskarżycielami Prywatnymi. Ci ostatni mieli żal do Prokuratora, że poruszył akta dochodzeniowe, dotyczące b. w.-dyrektora Pawła Michalskiego, a które pokryte kurzem spoczywały spokojnie w ciągu roku, bez żadnego ruchu, na półkach ministerialnych, gdzieś tam za fotelem w Biurze Prezydialnym..., że oświadczył przed Sądem o nienależytym załatwieniu afery ryżowej E. Mazura w związku z wymierzeniem grzywny niektórym tylko winowajcom, bez skierowania tej sprawy na drogę postępowania sądowego. Dlaczego tak jest, dlaczego między oskarżycielami istnieje kolizja?

Jako obrońca „Zaczynu", który w sprawie niniejszej zaszczytnie wykonał obowiązek publicysty, występując w obronie urzędnika polskiego i jego honoru, daję odpowiedź na to pytanie. Sprawa niniejsza nie jest sprawą Antoniego Lubowidzkiego; sprawa niniejsza dotyczy nas wszystkich; dotyczy całego społeczeństwa, a zatym zgoda między Prokuratorem a oskarżycielami prywatnymi była by możliwa, gdyby nie było wstrząsów i zgrzytów podczas wysłuchiwania dużej ilości świadków, bezwzględnie wiarogodnych, bezwzględnie kryształowo uczciwych, — a do tych w pierwszym rzędzie należy zaliczyć Sędziego Śledczego Kleinerta, urzędników naszej skarbowości Sidora, Berharda i Święszkowskiego, którzy w słowach prostych, a jednocześnie jakże dosadnych, poruszali nieprawidłowe posunięcia w urzędowaniu niektórych oskarżycieli prywatnych, które bezwzględnie wywierało ujemny wpływ na tok pracy w administracji skarbowej, wywołując w psychice urzędniczej najrozmaitsze komentarze i szerząc niezadowolenie wśród szerokiego ogółu pracowników administracji skarbowej. Stwierdzam zatym, że proces niniejszy nie tylko należy zaliczyć do największych procesów prasowych, lecz niestety również i do najsmutniejszych.

W tym stanie rzeczy niezależnie od rozbieżności myślowej, która istnieje jak zaznaczyłem wyżej, nie tylko między stronami, każdy z nas biorąc udział w procesie niniejszym, obowiązany jest z największą wnikliwością ustosunkować się do uzyskanego materiału dowodowego, przeanalizować go w swych myślach i sercu i przefiltrowawszy go w ten sposób oddać Sądowi Orzekającemu, aby w ciszy sali narad wypowiedział swe ostatnie słowo w sprawie, która nas wszystkich dotyka bezpośrednio.

Przebieg procesu i ustosunkowanie się Sądu Okręgowego do świadków, którzy przewinęli się w sprawie niniejszej, napawa każdego obywatela otuchą, że przed sądami polskimi wszyscy są równi; sądy nie znają ani bogatych, ani biednych, ani wielkich, ani małych, zasada ta w całej okazałości miała zastosowanie w procesie niniejszym.

Na wstępie swego przemówienia chcę przede wszystkim stwierdzić, że proces niniejszy w całej rozciągłości ustalił brak konsolidacji pracy w Min. Skarbu wśród wyższego personelu, brak konsolidacji klasy urzędniczej...

Rola moja, Panowie Sędziowie, jest tak skromna, jak skromna jest rola „Zaczynu" w sprawie niniejszej, rola, która, zdaniem moim, nie tylko nie pozostaje w kolizji z Kodeksem Karnym, a da się porównać z rolą człowieka, który nawołuje swych obywateli do pewnych wystąpień, a to celem uratowania honoru i dobrego imienia pewnej klasy społecznej.

W przemówieniu mym nie może być ciągłości myśli; nie dominowała ona i w przemówieniach mych szanownych przeciwników; zbyt dużo bowiem czynów poruszaliśmy na przewodzie sądowym; zbyt dużo czasu upłynęło od daty powstania niektórych w mowie będących czynów, aby móc skonsolidować wieloraki materiał w jedną harmonijną całość. Nie wolno mi jednak pewnych rzeczy ukrywać.

„Kradzieże grosza publicznego, łapownictwo, nepotyzm to są choroby, które wżerają się w nasz młody organizm państwowy". To nie są moje słowa — to są słowa Ministra Sprawiedliwości, wypowiedziane w dn. 2. I. 37 r. na Komisji Budżetowej w Sejmie. Ale te słowa zawierają nasze myśli. Zdawało się, że gdy te słowa strasznego potępienia naszej rzeczywistości, dotrą do świadomości całego Narodu, dzwony z całej Polski na czele z Dzwonem Zygmunta zaczną wzywać obywateli do zjednoczenia się, do walki z „zadżumionymi". Dziwnym zbiegiem okoliczności tylko młode pismo „Zaczyn" 14. I. 37 r. w sposób wysoce obywatelski wykonuje ciążące nań obowiązki publicystyczne.

W artykule „Pan Lubowidzki ciągle swoje", żąda, aby p. p. urzędnicy naszej skarbowości, cześć i honor których kwestionuje od kilku miesięcy A. Lubowidzki, zareagowali, skarżąc go o zniesławienie; milczenie bowiem może stać się podstawą do przyznania tygodnikowi „Tydzień Robotnika", w którym A. Lubowidzki po raz piąty drukuje swe artykuły, — słusznej ra-

W poprzednim numerze

„ZACZYNU"

Pies marmur gryzący

O t. zw. „prawicy i prawicowcach

Kontrola formalna a kontrola celowa

Proces urzędników skarbowych

Endeckie rogi

Głosy i odgłosy

Palcem po mapie

cji i prawdziwości zarzutów, stawianych urzędnikom.

15. I. 1937 r. Ministerstwo Skarbu wystosowało do Ministerstwa Sprawiedliwości pismo o pociągnięcie do odpowiedzialności karnej autora artykułów w tyg. „Tydzień Robotnika", który przez szereg miesięcy bez żadnej reakcji ze strony biura Prezydialnego Min. Skarbu i zainteresowanych urzędników, potępiał w ostry sposób systemy i metody ich urzędowania. oraz redaktora „Zaczynu" za wyszczególniony przeze mnie przed chwilą artykuł z dn. 14. I. 37 r.

Panowie Sędziowie! zacznę od Lubowidzkiego, zawdzięczając odwadze którego powstała niniejsza sprawa — „nasza sprawa". Mózg Lubowidzkiego nie dorósł do tego zadania, jakiego się podjął. Więcej powiem, może to nieudolnie nawet zrobił. Ale najważniejsze należy ustalić, w jakim celu rozpoczął akcję przeciwko pewnym urzędnikom administracji skarbowej? Czy drukował swe artykuły w tyg. „Tydzień Robotnika" po to, by zdobyć sławę i popularność wśród czytelników tego pisma? Czy jakaś mafia stała za nim i pchała go do dokonania tego dzieła? A może wąski interes partyjny, lub inny partykularz zmuszały go do tego?

Kategorycznie należy na podstawie całości materiału uzyskanego na przewodzie sądowym i obcowaniu kilkudniowym z A. Lubowidzkim stwierdzić, że wszelkie przypuszczenia robione w tym kierunku, prócz jednego, będą przypuszczalnie krzywdzącymi A. Lubowidzkiego. Lubowidzki działał nie tylko w najlepszej wierze, lecz jednocześnie w głębokim przeświadczeniu, że przyczyni się do uzdrowienia naszej „maszyny skarbowej".

Z Lubowidzkim nie chciano rozmawiać, zamykano przed nim drzwi. Jedyne pismko otworzyło przed nim drzwi. Jedyne pismko otworzyło mu swoje podwoje. Lubowidzki pisze i pisze, a urzędnicy milczą i milczą. Mijają dni, tygodnie, miesiące. Honor urzędnika jest poniewierany, czystość sztandaru urzędniczego została narażona na szwank.

Kto w pierwszym rzędzie wystąpił w obronie dobrego imienia klasy urzędniczej, kto pierwszy zażądał aby ten stan milczenia został przerwany? „Zaczyn"!

„Zaczyn" wystąpił w obronie ładu, porządku ministerialnego, jak również w obronie najdroższych ideałów urzędniczych: honorowości i uczciwości.

Gdy bilansuję rezultaty akcji wszczętej przez Lubowidzkiego, a zakończonej, zawdzięczając „Zaczynowi", stwierdzam w bilansie dodatnie i ujemne salda. Ujemne saldo stworzyli dyrektorzy niektórych Izb Skarbowych, którzy nie reagując na zarzuty im stawiane przez A. Lubowidzkiego, spowodowali, że ramy dzisiejszego procesu są tak długie i szerokie; długotrwałe ich milczenie spowodowało, że przed Sądem przewinęło się kilkudziesięciu świadków, którzy działając w najlepszej wierze, poruszali częstokroć sprawy przedawnione, nieaktualne, a mogące jednak poniżyć w oczach społeczeństwa dobre imię urzędnicze.

W tym jednak nie ma winy A. Lubowidzkiego.

Dodatnie zaś saldo polega na tym, że posunięcia i zarządzenia nieprawidłowe administracji skarbowej zostały wzięte pod pręgierz opinii publicznej i znajdą ocenę dla siebie w wyroku Waszym, Panowie Sędziowie.

Jakie zatem piękne posunięcie zrobił ten mały człowiek, ten skromny emeryt skarbowy. Od społeczeństwa za swój czyn uzyska dla siebie bezwzględnie rozgrzeszenie, a w Waszych myślach i sercach, Panowie Sędziowie, znajdzie całkowite dla siebie zrozumienie.

Lubowidzki proces wygrał z chwilą, gdy pełnomocnicy oskarżycieli prywatnych zmuszeni byli za pomocą swych obszernych przemówień odpowiadać na zarzuty stawiane im przez Lubowidzkiego.

A teraz, Panowie Sędziowie, określę czyn „Zaczynu" tak z punktu widzenia prawnego, jak i faktycznego.

Stwierdzam, że A. Lubowidzki nie ma nic wspólnego z „Zaczynem", a „Zaczyn" ma swoją platformę działania, która nie ma stycznych z tyg. „Tydzień Robotnika". Ustalenia te dokonane podczas przewodu sądowego nie budzą żadnych wątpliwości, a z wyjaśnień A. Lubowidzkiego wynika, że nigdy z żadnym swym artykułem nie był w redakcji „Zaczynu".

„Zaczyn" dokonał przedruku z własnej inicjatywy; stojąc na straży uczciwości każdego obywatela, nie dla oklasków, nie dla sławy, ale dla zwalczenia korupcji wystąpił „Zaczyn" z artykułem „Pan A. Lubowidzki ciągle swoje"; wystąpił dla zerwania zasłony ze stanu rzeczy, który się zrodził z ataków Lubowidzkiego, w braku kontr ataków ze strony powołanych ku temu czynników.

Jeżeli porównamy treść artykułu „Zaczynu" — „Pan A. Lubowidzki ciągle swoje" z treścią artykułu Lubowidzkiego, będącego przedmiotem oskarżenia, to należy stwierdzić, że redakcja „Zaczynu" nie tylko swemu artykułowi dała samodzielny tytuł, ale również z artykułu Lubowidzkiego skreśliła wszystko to, co może wzbudzić pewne wątpliwości. Przedruk został dokonany przez redakcję „Zaczynu" jedynie w celu zmuszenia zainteresowanych urzędników do reakcji przeciwko A. Lubowidzkiemu, że tylko te pobudki przyświecały „Zaczynowi" wynika to dobitnie z tych ustępów inkryminowanego artykułu, gdzie „Zaczyn" stwierdza, że Lubowidzki poraz 5-ty atakuje dobre imię urzędników, że coś tu nie jest w porządku i zapytał czy wymieniení przez Lubowidzkiego panowie skarżą „Tydzień Robotnika" o zniesławienie.

A zatem redakcja „Zaczynu" nie tylko nie miała na celu świadomie i rozmyślnie poniżyć w oczach opinii publicznej dobre imię naszego urzędnika, ale również nie godziła się na to, aby to imię było nadal poniewierane.

Redakcja „Zaczynu" wykonała obowiązki, wynikające z posłannictwa publicysty i słusznie zażądała w imieniu dobra publicznego, aby został położony kres tej niewyraźnej sytuacji, która powstała między tygodnikiem „Tydzień Robotnika" a wyższymi urzędnikami administracji skarbowej, sytuacji mówiącej, że wolno atakować urzędnika przez długie miesiące, bez żadnej reakcji ze strony zaatakowanych...

W tym stanie rzeczy w czynie „Zaczynu" brak jest znamion czynu karygodnego z art. 255 K. K.

Panowie Sędziowie!

Kończąc swe przemówienie, chcę zaznaczyć jeszcze, że broniąc „Zaczyn" nie oskarżam tych, którzy wytoczyli skargę.

Oskarżam jedynie tych, którzy wiedząc w lipcu 1936 r., że „Tydzień Robotnika" oczernia ich dobre imię, milczeli przez długie miesiące, zasłaniając się okólnikami, które niestety nie są w możności wyrównać krzywd, wyrządzonych klasie urzędniczej.

Chcę wierzyć, że proces niniejszy w znacznym stopniu posłuży do skonsolidowania pracy i myśli urzędniczej, że nie usłyszymy więcej z ust Pana Dyrektora Izby Skarbowej, że w skarbowości istnieją siły wzajemnie się zwalczające, że proces niniejszy przyczyni się wreszcie do powstania w skarbowości naszej wielkiego obozowiska urzędniczego, który w swej pracy na celu mieć będzie jedynie i wyłącznie dobro Rzeczypospolitej i jej obywatela.

Prosząc o uniewinnienie redaktora „Zaczynu", proszę jednocześnie Sąd Okręgowy o oddalenie powództwa cywilnego oskarżycieli prywatnych w postaci 1-go złotego strat moralnych; moralnym bowiem powodem w tej sprawie może być tylko społeczeństwo, które de facto poniosło straty, a nie oskarżyciele prywatni, którzy zgłosili swe roszczenia moralne po 6-ciu mniej więcej miesiącach od chwili powstania tych strat; data powództwa zatem mówi o jego nieaktualności.

WYROK

W dniu 31-go sierpnia b. r. Sąd Okręgowy w Warszawie w składzie: przewodniczący sędzia **Kotarba, wotanci: Leszczyński i Cichowski** — ogłosił wyrok w procesie o zniesławienie wyższych urzędników skarbowych.

Sąd uznał winę oskarżonych za udowodnioną i skazał: **Antoniego Lubowidzkiego,** autora artykułów **na 9 miesięcy aresztu i 200 zł. grzywny, Zbigniewa Mitznera, redaktora „Tygodnia Robotnika" na 6 mies. aresztu i 300 zł. grzywny. Wł. Gaika, redaktora tegoż czasopisma na 3 mies. aresztu i 150 zł. grzywny; Zb. Kaweckiego, redaktora „Państwa Pracy" na 3 mies. aresztu i 150 zł. grzywny i wreszcie Leona Borkowskiego redaktora „Zaczynu", — na 2 miesiące aresztu i 100 zł. grzywny, zawieszając mu wykonanie kary.**

Poza tym, Sąd uwzględnił powództwo cywilne i zasądził symboliczną złotówkę tytułem strat moralnych na rzecz wszystkich oskarżycieli prywatnych.

Po ogłoszeniu sentencji wyroku przewodniczący odczytał uzasadnienie.

W obszernych motywach wyroku Sąd stwierdził m. inn. że zarzuty postawione wyższym urzędnikom zostały naogół nieudowodnione, oprócz pewnych poruszonych spraw.

Ujemne światło na działalność Allanda, jako inspektora ministerialnego, rzuca fakt przerwania rewizji u Suryna. Suryn niewątpliwie był związany z kartelem drożdżowym. Znalezione podczas rewizji w dniu 13 lutego 1935 r. przez Ruszkowskiego dokumenty — wobec różnic zdań co do ich ich ważności pomiędzy Ruszkowskim a Allandem — przemawiały za tym, aby rewizję kontynuować. Insp. Alland zlecił jednak rewizję przerwać i spisać protokół, że nic ważnego nie znaleziono.

Co do dyr. Sieradzkiego Sąd stwierdza, iż okoliczności poprzedzające dostarczanie akt dochodzeń przeciwko Michalskiemu, sędziemu Kleinertowi, w szczególności różnice w zeznaniach na ten temat zbadanych świadków (s. Kleinert, Jaksz, Krycka, Zieliński) dają pewne podstawy do wysnucia nieprzychylnych dla Sieradzkiego wniosków. Brak jest jednak dostatecznych, stuprocentowych dowodów, któreby pozwoliły z całą pewnością stwierdzić, że Sieradzki wiedział, gdzie żądane akta dochodzeń są przechowywane i umyślnie nie chciał ich wydać sędziemu Kleinertowi, aby utrudnić śledztwo przeciwko Michalskiemu. Pozostałe dwa zarzuty stawiane dyr. Sieradzkiemu Sąd uznał za nieprawdziwe.

W sprawie „Łuszczarni Ryżu" znajdują się zdaniem sądu dostateczne dowody, które przemawiają za tym, że grzywna winna być wymierzona także i Wasserbergerom i Mazurowi i że sprawa wobec wykrycia nadużyć nie tylko na niekorzyść skarbu ale i niektórych uczestników konsorcjum, winna być skierowana do Sądu.

Ponadto Sąd stwierdza, że kilkuletni okres poprzedzający wystąpienie Lubowidzkiego z zarzutami, obfitował w szereg nadużyć, dokonanych przez wyższych urzędników skarbowych. W tym okresie ujawniono nadużycia Krzysztoforskiego, Michalskiego, Chwaliboga, Kurpiewskiego i innych. **Nadużycia ujawnione przeważnie nie dzięki kontroli władz nadzorczych skarbowych, a dzięki przypadkowym okolicznościom.** Dochodzenie prowadzone w 1933 roku przeciwko Michalskiemu i innym, przez nacz. Rządkiewicza i następnie Pothsa, **nie doprowadziły** do żadnych konkretnych rezultatów.

Okoliczności te sprawiły, że w umysłach szeregu niższych urzędników skarbowych, dbałych o interesy skarbu poczęły nurtować podejrzenia, że władze zwierzchnie ukrywają nadużycia.

O T. ZW. LEWICY I LEWICOWCACH

Stało się wprost fałszywą manierą myślenia politycznego w Polsce po zgonie Marszałka Piłsudskiego, by z krytyki możliwości i skutków t. zw. rządów prawicowych w Polsce, kuć od razu argument dla uzasadnienia potrzeby oparcia rządów dzisiejszej Polski o t. zw. „lewicę" i „lewicowców". Przypatrzmy się dla odmiany konkretnym możliwościom powstania w dzisiejszej Polsce jakiegoś zespołu czy bloku o charakterze i hasłach wybitnie lewicowych.

O terminie „Fołksfrontu" wolimy nie mówić, gdyż „Fołksfront" musiałby oznaczać jakieś zespolenie ugrupowań lewicowych z partiami i elementem żydowskim obecnej Polski, w tym sensie, że element żydowski grałby bardziej wpływową, jeśli nie kierowniczą rolę. Możliwość zaś taka jest w Polsce nieistotną fikcją, a każdy dzień przynosi dowody, że oddalamy się coraz bardziej nawet od podobnej fikcji. Sjoniści kłócą się w Polsce z P. P. S. o rzekomy antysemityzm naszych socjalistów, natomiast w praktyce politycznej zblokowali się już syjoniści z Agudą żydowską, czyli z ortodoksami, a więc najbardziej reakcyjnym elementem całego żydostwa. Tak samo wyrzućmy z słownika bzdury o „żydo-komunie", właśnie dzisiaj, gdy komuniści polscy ogłaszają publicznie stronnictwo, w którym nie ma nawet cienia elementu żydowskiego, t. j. Stronnictwo Ludowe, za grupę działającą bardziej rewolucyjnie, czy lewicowo, aniżeli Polska Partia Socjalistyczna. Dla charakterystyki fikcyjności i tych rozmaitych prawolewych kombinacji dzisiejszej Polski warto przypomnieć, że na współpracę tego tak dobrze przez komunistów ocenianego Stronnictwa Ludowego liczy także nasza t. zw. prawica! Te więc wszystkie hasła i i wyrażenia agitacyjne o „fołksfroncie", „żydo-komunie" weźmy spokojnie poza nawias, a zajmijmy się możliwościami jakiegoś — zresztą bliżej niedającego się określić — blokowania wszystkich elementów, które się mienią lub uważają za lewicowe.

Powtarza się ponownie wypadek supozycji politycznego blokowania się ognia z wodą, a więc grupowania się do pracy według wspólnego programu ludzi, kierunków i haseł o diametralnie sprzecznych poglądach i dążeniach. Oczywiście tego rodzaju „lewica" obecnej Polski musiałaby się skupiać około dwóch stronnictw, które bezsprzecznie w ostatnich czasach zaczęły zyskiwać na sile, t. j. koło P. P. S. i Stronnictwa Ludowego „Piast". Przy tym jednak założeniu musiałyby te istniejące już partie pozyskać sobie dopiero wszystkie radykalno-demokratycznie myślące żywioły, zwłaszcza z obozu legionowego, czy niepodległościowego, gdyż praktyka wielu lat wykazała niezbicie, że same te dwa stronnictwa *nie są zdolne* do wytworzenia takiej siły, która by mogla ująć władzę w Polsce.

Tymczasem zaś w rzeczywistości Stronnictwo Ludowe, tak chętnie łączące się z P. P. S. dla organizowania oporu i walki z obecnym regimem, w pozytywnej pracy politycznej nie ma w ogóle z P. P. S. punktów stycznych, tak samo jak dla odmiany wszystkie te nieskoordynowane elementy o tendencjach lewicowych, — czy, jakby ktoś chciał dzisiaj zmyślić, jakaś „lewica legionowa", — nie tylko nie ma nic wspólnego z podobnym zespolem, ale jest wprost wrogo usposobiona zwłaszcza do Stronnictwa Ludowego tegoż Witosa, który najsilniej wycisnął piętno na życiu polskim w okresie „Chjeno-Piasta". „Piast" bowiem był właśnie tym czynnikiem, który zmusił swego czasu wszystkie lewicowe elementy Polski do wspólnej kontrakcji. Niechaj zaś nikt się nie dziwi, że taką wagę kładziemy na te rzesze sympatyków lewicowo-demokratycznych, gdyż to jest ta nieskalkulowana siła wewnętrzna Polski, która zawsze dawała przewagę temu, przy kim się skupiła, rozwiązując zarówno zagadkę szerokiego znaczenia dawnego P. P. S., jak później fakt ostania się wewnętrznej polityki Józefa Piłsudskiego nie tyle jako siły, ile jako wpływ na naród Polski, a to w okresie bezwzględnej walki zarówno z P. P. S., jak z „Chjeno-Piastem". Przez te rozróżnienie elementów, które mogłyby ewentualnie wchodzić w grę przy obliczaniu sił jakiejś ewentualnej, a w rzeczywistości nierealnej, „lewicy," w obecnej Polsce, — dochodzimy coraz bliżej do zestawiania tych najrozmaitszych rozbieżności, które by musiał reprezentować podobny blok „lewicy". Ci bowiem, bardzo liczni, a przede wszystkim zdolni do ideowego, intelektualnego oddziaływania „sympatycy" wszelkich dążeń lewicowych, czy raczej demokratycznych w Polsce, wyżywają się wprawdzie również w głoszeniu radykalizmu społecznego, ale jeszcze bardziej, czy częściej, w opieraniu wszystkiego na liberalizmie gospodarczym i samorządowym. Nie dający się natomiast wyeliminować ośrodek takiej ewentualnej lewicy, t. j. P. P. S., względnie tak czy inaczej zorganizowane sfery robotnicze, ulegają przecież w zakresie społeczno-ekonomicznym ideom socjalistycznego etatyzmu. Tymczasem te wszystkie elementy, które miałyby się skupiać dookoła tego socjalistycznego, czy socjalizującego jądra, są właśnie najbardziej zdecydowanym przeciwnikiem regulowania życia społecznego i gospodarczego przez państwo. Jednym słowem z którejkolwiek strony zbliżymy się do tych możliwości powstania t. zw. lewicy, napotykamy na same *rozbieżności* przy każdym poszczególnym wypadku, czy zagadnieniu, z oczywistą supozycją sprzeczności wewnątrz t. zw. lewicy przy każdym praktycznym rozstrzyganiu aktualnej sytuacji.

Trudności jednak podobnej możliwości rządów o charakterze lewicowo-demokratycznym, a z oparciem się o polski socjalizm wszelakiego typu, idą znacznie głębiej i dalej. Wykluczamy oczywiście z tych wszystkich rozważań komunizm i komunistów, bo *komunizm* mimo wszystkich swoich zalotów i propozycji, *jest faktycznie w Polsce bez żadnych partyjnych sojuszników*, bez względu na to, co się w takiej, czy innej prasie agitacyjnej próbuje twierdzić. Mimo wyłączenia więc zagadnienia komunizmu i z tym związanych niebezpieczeństw, zasadnicza, a w razie praktycznych rozwiązań może największa trudność „lewicowego" rozwiązania leży w fakcie, że podobny blok, czy podobny „front ludowy" obecnej Polski zbiegałby się i łączył ideologicznie przede wszystkim przy jednej zasadzie, t. j. przy pięcioprzymiotnikowej ordynacji i rządach parlamentarnych, opartych o sejm, z wyłączeniem senatu, a pochodzący z bezstronnych wyborów. Z tym zaś momentem stajemy oko w oko nie tylko wobec możliwości walki elementów o tendencjach t. zw. prawicowych z elementami o tendencjach t. zw. lewicowych, ale wobec konieczności liczenia się z bardzo silną parlamentarnie reprezentacją wszelakich naszych mniejszości. W rezultacie więc, poprostu z powodu nieodpornej wymowy statystyki obecnej Polski, musiałaby się wytworzyć pewna polska zależność od ugrupowań mniejszościowych. Weszłaby ta sytuacja automatycznie w miejsce tego, co leży niewątpliwie, w interesie Polski jako takiej, t. j. rządów silnej polskiej grupy, zdolnej samej przez się do faktycznego wykonywania rządów, ale szukającej z tej silnej, centralnej pozycji współżycia i współpracy z mniejszościami pod kątem interesu państwa i przy bezwzględnym przestrzeganiu polskiego interesu państwowego ponad wszystko.

W rezultacie tych wszystkich rozważań, zarówno t. zw. prawicowe, jak lewicowe możliwości rządów w Polsce *prowadzą do nieuchronnego powrotu tego impasu* i rozkładowej bezsiły Polski parlamentarnej, jaką mieliśmy w latach 1919 — 1926, przy czym w okresie naczelnikostwa ten impas wewnętrzny Odrodzonej Polski był hamowany w swej szkodliwości przez przepotężną indywidualność Naczelnika Państwa. Wszystkie bowiem te dążenia, by Polskę sprowadzić na tory t. zw. prawico-

---

BARDZO PROSIMY!

Jest rzeczą pewną, że panowie redaktorzy, publicyści, dziennikarze „Zaczyn" czytują.. Czytują i czytują. Mamy tego dowody w postaci wielkiej ilości wycinków prasowych, dostarczanych nam stale przez Informację Prasową Polską. Według nas czytać nas — to mało. Trzeba czytać uważnie, a cytować uczciwie. „Polonia" (Katowice) z dnia 24 sierpnia cytując nas dodaje:

„Rzecz charakterystyczna, iż „Zaczyn" zastrzega się, iż ordynacja wyborcza nie jest dzielem Piłsudskiego i że nie poczuwa się do obowiązku bronienia jej".

Natomiast „Nowy Dziennik" (Kraków) z dnia 25 sierpnia zważając, że jesteśmy zwolennikami centrum stwierdza:

„Niestety to zachwalane centrum tak bardzo mile nie wygląda, wszak „Zaczyn" posuwa się do aprobaty — istniejącej ordynacji wyborczej"...

Oto dwa przeciwne stanowska, ale bynajmniej nie nasze, bo my mamy jedno. Jest ono napewno bardziej zbliżone do tego co podała „Polonia" i zostało wyrażone jasno.

Z powodu „akcji lewicy legionowej" „Warszawski Dziennik Narodowy" z 31 sierpnia pisze:

„Można więc tylko wzruszyć ramionami gdy raz „Zaczyn", to znowu „Czarno na białym" lub „Jutro Pracy" zapowiada jakieś epokowe wystąpienia legionistów".

Nie poczuwamy się do żadnej wspólnoty z „Czarno na białym" ani z „Jutrem Pracy" — to raz, a po drugie nigdy nie zapowiadaliśmy „jakiegoś epokowego wystąpienia legionistów". Według nas taką zapowiedź mogą dać władze Związku Legionistów. Czytaliśmy w „Jutrze Pracy" zapowiedź z listu bezimiennego, a podobno znanego legionisty, przemawiającego w imieniu „dołów" legionowych:

„My przejdziemy do działania. Nie będziemy patrzyć z założonymi rękami na to, co się dzieje"...

i wzruszyliśmy ramionami. Bo po co gadać, gdy można działać? Czynna postawa chyba bardziej przystoi „znanemu legioniście" niż pogróżki „na gębę" — w czym się od wielu lat niejeden wyspecjalizował legionista. Wszystkie „doły" są od tego aby były terenem demagogów i „doły legionowe" nie są widocznie wyjątkiem. „ZACZYN" NIE MA Z TYM NIC WSPÓLNEGO. Gdy nasza prasa chce w „Zaczynie" wyczytywać to co się jej podoba i to co jej jest wygodne — prosimy bardzo. Jest to kwestia zwyczaju i gustu.

„SPORY PRZESZŁOŚCI"

„Zaniechanie sporów przeszłości" — oto wskazówka, rozbrzmiewająca coraz częściej i znajdująca coraz więcej zwolenników.

Dotykamy z nią ciekawego i rozległego zagadnienia zależności między przeszłością a chwilą teraźniejszą, związku między historią a polityką. „Historia jest minioną polityką, a polityka przyszłą historią" — mówi historyk angielski Frecman. Jaką jednak rolę należy wyznaczyć historii, kiedy ma ona być „magistra vitae", a kiedy rejestrem faktów, o co w niej trzeba się „spierać", a jakich sporów „zaniechać"? Wskazówka zaniechania sporów przeszłości dotyczy głównie ostatnich rozdziałów historii, ale te są nieraz najaktualniejsze, a sama wskazówka, stając się hasłem obiegowym, może być precedensem dla generalnego nieuctwa w tak ważnej i pouczającej dziedzinie jak studia nad przeszłością. Zrywanie i przekreślanie wszelkich węzłów między historią a polityką, jest równie naiwne jak stosunek odwrotny, t. j. wyprowadzanie z historii gotowych wzorów politycznych — w myśl naiwnego twierdzenia znakomitego lekarza i znawcy wielu kultur, ale znacznie gorszego socjologa Gustawa Le Bon, że „historia w kółko się obraca".

Rozważania na temat wartości „sporów przeszłości" jest o tyle trudniejsze, że historia dzisiaj — jest to chyba bezsporne — błądzi na swych wysokich koturnach po bezdrożach jałowości i przyczynkarstwa.

Dzisiejsza oficjalna historia zajmuje się albo uczonym tłumaczeniem, skąd wzięła się chwila dzisiejsza, albo wynajdywaniem magicznych mechanizmów, według których rzekomo potoczą się losy ludzkości.

Nas osobiście niewiele interesują takie próby. Znacznie więcej obchodzi nas, jak rozstrzygnąć jakieś problemy niż to skąd się wzięły — a mechanistyczne pojmow nie dziejów, zapoznające olbrzymią rolę twórczości, uważamy za nonsens wierutny.

Znacznie bardziej interesująco przedstawiają się dwa inne rozstrzygnięcia dylematu: przeszłość—teraźniejszość; z jednej strony wyprowadzanie z pewnej interpretacji historii określonego stanowiska politycznego — i z drugiej — odwrotnie — z pewnej ścisłej i konsekwentnej doktryny wyprowadzanie odpowiedniej interpretacji przeszłości. Jaskrawym przykładem pierwszego wypadku była historyczna szkoła krakowska; przykładem drugiego — może być przede wszystkim odpowiednie preparowanie historii na modłę katolicką lub marksistowską. Można by tu przypomnieć wielotomowe wydawnictwo francuskie pod kierownictwem Jaurès'a, odtwarzające historię Francji z socjalistycznego punktu widzenia.

Oba powyższe stanowiska są niewątpliwie cenniejsze dla zwolenników realizacjonizmu niż poprzednie, niemniej również nie mogą być wystarczające. Oba są w gruncie rzeczy statyczne, zdeterminowane, w pierwszym wypadku przez niewzruszalność „prawdy historycznej", w drugim przez niewzruszalność doktryny. A przecież rozwój wiedzy i twórczość mogą dojść do nowych wyników w historii, godzących w fundamenta przyjętego światopoglądu, lub też zdezaktualizować doktrynę, a tym samym i wszystkie jej pochodne.

Nasze stanowisko jest jeszcze inne; traktujemy przeszłość jako nieprzebraną skarbnicę przykładów, jako przebogaty materiał wzorów i przestróg, które mogą nam oddać niezmierne usługi w kształtowaniu przyszłości, ale z której sama przez się żadna droga przyszłości nie wynika. W naszym traktowaniu przeszłość jest wielkim komentarzem do teraźniejszych zagadnień, wielkim laboratorium teorii użytkowych i życiowych sprawdzianów, ale nie ciągłym jednokierunkowym procesem, bo każdorazowa rzeczywistość z zupełnie nowych wątków może rozwijać swą prawdę.

Stanowisko to uzbraja nas w rynsztunek wszystkich osiągalnych doświadczeń, ale nie ogranicza żadnych przejawów twórczości, przeciwnie, nastraja nas zdobywczo, bo każde nowe ujęcie przeszłości nie podważa lecz dynamizuje wiecznie żywą treść naszych poglądów.

Z tego względu wydaje nam się rzeczą jasną, że istnieją dwa rodzaje t. zw. „sporów przeszłości". Pierwsze dzielą poglądy w imię chimerycznej „prawdy historycznej", przekopując się przez zwały pracowitych trudności do „obiektywnych faktów". Drugi spór to starcie dwóch poglądów na ten sam bezsporny i wiadomy fakt historyczny, starcie dwóch interpretacji historii.

Spory pierwsze, jałowe dociekanie „jak było naprawdę", nie posiadają niemal żadnej wartości. T. zw. „prawda historyczna" zawsze będzie zbyt wieloraka, by można ją sprowadzić do niepodzielnych elementów. Ale w drugich sporach chodzi o rzecz wielką, o pogląd na historię. Każda poważna i trwała doktryna polityczna winna wylegitymować się, między innymi także jasnym, prostym i konsekwentnym poglądem na dzieje dotychczasowe. Nie będzie to pogląd na takie czy inne fakty, ale na rozwój i przebieg tych myśli politycznych, które je stwarzały. Wszystkie spory, dotyczące nie poszczególnych epizodów ale pewnych całości, a przede wszystkim spory o wartość minionych doktryn, tych zwłaszcza, których fragmenty i dzisiaj są aktualne, otóż te wszystkie spory nie tylko że nie mogą być w imię polityki zapomniane, ale przeciwnie, trzeba by je — jeżeli zanikają — wznieść z pyłów niepamięci, trzeba by je szczerze, jasno i otwarcie przepracować do samego końca i uwieńczyć zdecydowanym poglądem. Krótkowzroczną byłaby ta polityka, która dla skaptowania takiej czy innej grupy rezygnowałaby z tak wielkiego atutu jakim jest logiczny, zdecydowany i konsekwentnie rozbudowany pogląd na przyszłość jako jeden z punktów wyjściowych.

Rzućmy parę chociażby najprostszych przykładów. Od wielu dziesiątków lat toczy się „spór przeszłości" o ideę Jagiellońską. Spór ten nie tyczy bynajmniej obiektywnego zdefiniowania tej idei, ale ustalenia jej wartości, jej wyników i skutków dla Polski.

Czy urzeczywistnienie idei Jagiellońskiej zapewniło Polsce okres największej świetności we wszystkich przejawach życia, jak chcą jedni, czy też stała się w konsekwencji przyczyną upadku Polski, jak twierdzą bez ogródek inni; czy ściśle wiąże się z ideą Jagiellońską „nasza odporność przeciwko wszelkim wysiłkom rusyfikacji czy germanizacji i nasz obecny powrót na stare placówki", jak sądzi prof. W. Kamieniecki, czy też jak uważa prof. R. Rybarski „dlatego przetrwaliśmy najcięższe czasy, żeśmy byli nietolerancyjni, ekskluzywni, niehumanitarni"?

Czy taki spór można zostawić nierozstrzygnięty dopóki są w Polsce ludzie myślący i dopóki aktualność zagadnień narodowościowych zajmuje miejsce czołowe?

Weźmy inny przykład: sprawa upadku Polski. I tutaj mamy dwie koncepcje. Czy upadliśmy jako państwo na skutek „pożądliwości sąsiadów", jak twierdzi Balzer i „przemożności wrogów", czy „przyczyna główna" rozbiorów jak udowadnia Askenazy „nie tkwiła w Rzeczypospolitej" i „miała siedlisko w Europie ówczesnej", czy też jak głosi druga koncepcja sprecyzowana przez Górkę — upadliśmy z winy własnej, wskutek anarchii ustrojowej, bezładu gospodarczego i nieprawdopodobnego egoizmu i ciasnoty warstwy szlacheckiej. Tego „sporu przeszłości" także nie można odesłać z lekkim sercem do lamusa, bo aktualność niektórych jego fragmentów jest dziś wręcz frapująca.

Trzeci przykład jest może najaktualniej-

(Dokończenie ze str. 3-ej)

we lub t. zw. lewicowe, nie mają w sobie charakteru jakiejś idei czy tendencji politycznej, *nie są żadnymi przejawami nowych dążeń, czy nowych czasów i idei*, lecz tylko bezwładnym powrotem, beznadziejnym, przez swoje powtarzanie się, by wrócić do tych sytuacji wewnętrzno-politycznych, z których wyprowadziła Polskę ręka Marszałka Piłsudskiego w przewrocie majowym.

Łatwo jest wobec zastrzeżeń wypaczenia linii Polski bądź w prawo, bądź w lewo, szermować całkiem fałszywym argumentem, że jest to ideologia utrzymania statuts quo, czyli trwania w stanie i układzie ostatnich lat. Argument ten jest tylko chwytnym frazesem, jeśli uświadomimy sobie, że te dwie drugie możliwości, które można by przeciwstawić zasadzie utrzymania linii Marszałka Józefa Piłsudskiego — to z jednej strony *powrót do status quo, ale sprzed maja*, w miejsce utrzymania status quo według zasad po przewrocie majowym, z drugiej zaś strony możliwość rozbicia społeczeństwa polskiego na bloki ulegające hasłom prawicowym i lewicowym, które muszą zczepić się z sobą w wewnętrznej walce, na tle asystowania w tej walce czynnika trzeciego, t. j. mniejszości narodowych.

Dlatego wniosek z tego obiektywnego rozpatrzenia wszystkich prawo-lewych możliwości obecnej Polski nie może być oryginalny, nie może frapować jakąś zupełnie nową koncepcją. (113.)

szy, bo w niego głównie godzi akcja, głosząca „zaniechanie": sprawa odrodzenia Państwa Polskiego. Czasy to jeszcze bardzo niedawne, tak że trudno czasem wyznaczyć linię demarkacyjną między historią a polityką, gdyż wielu wybitnych aktorów niedawnego dramatu „orientacyjnego" żyje i działa nadal, niemniej już dzisiaj krystalizują się odrębne poglądy na szereg spraw tego okresu, reprezentowane przez młodszych badaczy. Weźmy chociażby pogląd na rolę Legionów; czy (według Lipińskiego, Kawałkowskiego, Pobóg-Malinowskiego i innych) miały one zasadnicze znaczenie przez podkreślenie wobec międzynarodowej opinii obecności politycznej Polaków w zmaganiach wojennych, oraz przez podjęcie tradycji militarnych i wychowanie pierwszej ekipy świadomych państwowców, czy też jak uważa Giertych i „Młoda Polska", były one tylko niekonieczną przygodą, przeszkadzającą myśli polityczno-dyplomatycznej w swobodnym rozegraniu wielkiej partii o zjednoczenie ziem polskich. I nie o same fakty w tym „sporze" chodzi, ale o ocenę dwóch metod działania, z których jedna opiera się na własnych siłach moralnych i materialnych, a druga spekuluje na grze sił i dążeń poczętych bez swego udziału.

Albo „Wyprawa Kijowska" — wprawdzie nie uwieńczyło jej osiągnięcie zamierzonego celu, ale sam fakt jej podjęcia oraz jej przebieg, jakże różnie jest oceniany; czy przez uprzedzenie ataku bolszewików na Polskę i przez uprzednie zneutralizowanie kawalerii Budiennego stanowiła jak gdyby pierwszy akt wiekopomnego zwycięstwa warszawskiego, czy też przez niepotrzebne zaangażowanie ogromnych sił na wschodzie odbiło się ujemnie na sprawie Gdańska i powstaniach śląskich? Czy była legitymacją historyczną odrodzonej mocarstwowości wobec Europy i wielkim aktem wychowawczym dla dwóch narodowości podporządkowanych jednej doktrynie państwowej, czy „nierozsądnym wybrykiem" „personalnych ambicji"?

Te wszystkie pytania ujęte w całej odrębności faktów, których dotyczą, oczywicie nie są dziś najważniejsze, ale przedłużenia tych pytań sięgają w istotę najaktualniejszej problematyki współczesnej. I dlatego na te wszystkie pytania trzeba do końca odpowiedzieć. Mógłby ktoś zwrócić uwagę, że to sprawy dla specjalistów, dla naukowców-historyków, a nie dla ludzi myślących politycznie. Mniemanie zupełnie błędne, powtarzamy jeszcze raz, że chodzi tu o *pogląd* na historię. Historyk dostarcza nam tylko tworzywa, i narzędzi, faktów i metody lecz powiązać wypracowany pogląd z współczesnymi problemami winien świadomy współtwórca przyszłości. Mało tego. Może on nawet niejednokrotnie dysponować historykiem pod pewnym specjalnym kątem widzenia. Nie boimy się zarzutu „tendencji"; obiektywizm i tendencyjność winny się ścierać w historii jak logika i intuicja w matematyce. Takie ścieranie jest tylko uzupełnieniem się i współpracą. Nie pora teraz do rozwijania tego poglądu — wracamy do punktu wyjścia. Wracamy i przestrzegamy: ostrożnie z „zaniechaniem sporów przeszłości", jest to hasło zdradliwe i niebezpieczne. Co gorsza — jak już wspomnieliśmy — może się ono stać prawdziwym dobrodziejstwem dla polskiego nieuctwa, dyletantyzmu i myślowego lenistwa, które zawsze skorzystają z okazji, żeby ładnym powiedzonkiem nazwać i usprawiedliwić ubóstwo umysłowe.

A przecież nie o to chodzi. (56)

„PASZKWIL" NA MŁODZIEŻ

Młodzież jest modna. Nigdy chyba jeszcze nie poświęcono tyle uwagi, tyle słów, starań, zabiegów obywatelom poniżej dwudziestu lat. Na nich się wszystko ma oprzeć. Oni to zajmą wszystkie miejsca na świecie, wypędzą chytrych wyjadaczy, kombinatorów, politykierów, ludzi zmęczonych wojną, złamanych kryzysem — owo pokolenie nie stare jeszcze, a przecież zniszczone przed czasem, pokolenie wojenne. Nic dziwnego, rosną przecież. Tymczasem chodzą jeszcze do szkoły, w palcach uwalanych atramentem noszą jeszcze książki i kajety, słuchają od niechcenia wykładów nauczycieli, ale wiedzą już aż nazbyt dobrze, że ich obecne zajęcie to rzecz zgoła nie ważna, w gruncie rzeczy niepotrzebna; ot głupstwa wymyślone przed setkami lat, sprawy, z których nasza epoka już dawno wyrosła. Przeżytki istniejące siłą bezwładności. Jeszcze muszą rano przychodzić do szkoły, ale coraz wyraźniej zdają sobie sprawę, że tracą czas, słuchając ględzenia o Horacym i całej łacinie, o Sępie Szarzyńskim, Skardze i Reju z Nagłowic, o żabie Newtona, epoce lodowcowej, pierwiastkach, równaniach, bitwie pod Kłuszynem.

Bo... po co? Chyba że się kawaler wybiera na Politechnikę. Wtedy matematyka owszem, niewątpliwie się przyda. Albo na medycynę, wtedy nie zawadzi trochę liznąć łaciny. Ale reszta? Ale zagłębiać się w Wirgiliusza, to doprawdy przesada! Przyszłemu prawnikowi przyda się trochę historii, cóż go jednak obchodzić mogą doświadczenia Faradaya?

Większość niezdecydowana jeszcze co do przyszłego swego fachu, na wszelki wypadek ma, dziś wszystko... w pięcie. Nauka prawdziwa, specjalizacja, zaczyna się na wyższych uczelniach. Lecz tu dopiero czasu na nią nie ma. Nie czas na studia gdy trzeba Polskę zbawiać. I to natychmiast, bez zwłoki. Za parę lat może już być zapóźno. Przyjdą młodsi, o głos się będą domagać, powiedzą żeś stary piernik. A na całym świecie młodzi dziś powinni wszystkim zawładnąć ,byle zwartą ławą, falą, falangą.

Przecież Mussolini już czteroletnie bąki łączy w balille, i w Niemczech Hitlerjugend. We Francji p. Jacque Doriot tworząc wielką partię polityczną zaczyna od zwoływania smarkatych obywateli.

I u nas wreszcie czas byłby się tą sprawą zająć. Trzeba zorganizować młodzież. Nikt co do tego nie ma wątpliwości. Interes państwa, racja stanu tego wymaga, młodzież sama o to woła. Ale czy o to samo?

Przypatrzmy się faszystowskim Włochom. Widzimy obchody, pochody, manifestacje, maszerowanie w szeregu, miliony dłoni zgodnie wyciągniętych ku górze. Sam wódz nie wstydzi się przemawiać do ledwo odrosłych od ziemi pędraków. A każdy z nich ma głęboko wpojone poczucie swej ważności, swej wartości dla państwa. Tak, lecz to poczucie jest oparte nie na samym fakcie, że ów malec jest malcem, ale na oświadczeniu swej woli pracy, pracy wspólnej z rówieśnikami dla przyszłości państwa i na terenie ściśle zakreślonym ławą szkolną. Niechby taki spróbował decydować o sprawach ogólno-państwowych, uchwalać rezolucje, manifestować za ich przyjęciem, lekceważyć codzienny swój i swych nauczycieli trud!

Elementem decydującym w organizacji młodzieży w państwie totalistycznym jest nie danie jej głosu, ale przeciwnie ujęcie jej w karby, zmuszenie do pracy we właściwym zakresie. Nie zlekceważenie owego okresu przygotowawczego przez jaki człowiek przejść musi, by osiągnąć dojrzałość myśli, ale podniesienie go do godności najistotniejszej pracy dla państwa. Otoczenie go opieką, by wydał dobre owoce, ale jednocześnie tępienie wszystkiego co ten okres rozrywa, co wprowadza weń anarchię.

Stosunek taki nakłada na ludzi państwem rządzących ważny obowiązek organizacji życia w sposób taki, by młodzież czuła, że jej wysiłki są celowe, by miała przekonanie, że suma starań włożonych w lata przygotowania opłaci się, że da jej prawo do zajęcia odpowiedniego miejsca w społeczeństwie. Obowiązkiem nie mniej ważnym jest wpojenie w młodzież przekonania o konieczności pracy, o tym, że w przyszłym jej życiu będzie decydować nie taka lub inna przynależność partyjna, ale szczerość i płodność jej studiów, nie manifestacje na ulicy, ale obecność w laboratorium. Nikomu bowiem nie są potrzebne nowe szeregi rozagitowanych, politycznych działaczy. Gdyby między pokoleniem nowym, a pokoleniem dzisiejszym miała istnieć tylko ta różnica, że jedni trawią dni na bezpłodnych kawiarnianych dyskusjach, a drudzy czas spędzają na paradowaniu po ulicach z pałką w dłoni, to wszelkie rojenia tych ostatnich trzeba by było jak najszybciej rozwiać. Być młodym i głupim, to jeszcze mały tytuł do prowadzenia spraw życia państwowego i społecznego. Jeśli tak wielkie nadzieje pokłada się w przyszłych pokoleniach, to w oczekiwaniu, że dadzą one ludzi zdolnych do pracy, a nie tylko do sporów i „wystąpień". Dla rozwoju państwa potrzebni są fachowcy.

Ale to jeszcze nie wszystko! Dla jego wielkości konieczna jest kultura. Ta kultura, którą dać powinna szkoła średnia z jej różnorodnością nauk, z Sępem Szarzyńskim, Faradayem i bitwą pod Kłuszynem.

(72)

PRZEMÓWIENIE MEC. KISIELEWSKIEGO

na procesie wyższych urzędników skarbowych

Szanowni Panowie Sędziowie! gdy w procesie niniejszym rozlegały się echa dawno minionych dni, echa okresu zwanego w historii samowładztwem, kiedy na sali mówiono o interpelacji jednego ze stronnictw samowładnych, stronnictwa, którego jednym z wybitniejszych ludzi był obecny minister Rzeczypospolitej, gdy mówiono o działalności pana wice-ministra Świtalskiego, oświadczam Sądowi Okręgowemu, że sprawa Antoniego Lubowidzkiego jest w interpelacji wniesiona przez całe społeczeństwo polskie.

Interpelacja ta została wniesiona przez uczucia Polaków. Skierowano ją do Was, Szanowni Panowie Sędziowie, z prośbą, byście odpowiedzieli na pytanie, czy w resorcie podległym Ministrowi Skarbu tok urzędowania odbywał się należycie i zasługiwał na nazwę moralności.

Treść wyroku jest obojętna. Obojętne będzie skazanie lub uniewinnienie. Ważnym będzie, by te wszystkie smutne przestępstwa, o których tyle było mowy w ciągu kilkudniowego procesu sądowego, zostały przez was, Szanowni Panowie Sędziowie, z powagą odpowiednimi sposobami oświetlone.

W toku jednego z przemówień proces ten nazwałem procesem męczącym. Mój utalentowany kolega ze strony przeciwnej (adwokat Ettinger) zgodził się z tą nazwą, ale powiedział, że jest on męczącym dla ławy oskarżonych. Tak nie jest. Proces ten jest męczącym dla całego społeczeństwa polskiego. A ci wszyscy, którzy płacą podatki, obserwują przebieg procesu nie tylko z niepokojem i z pewną troską, czy resort Ministerstwa Skarbu jest prowadzony należycie.

Panowie Sędziowie! Napoleon powiedział, że dwa są czynniki administracji państwowej, które władca dzierżąc w swoim ręku sprawuje rządy; — jest to wojsko i skarb. Nic dziwnego więc, że proces ten rozbudził takie zaciekawienie, że sprawozdania były rozchwytywane, że sala sądowa była przepełniona. Obywatel żywo interesuje się losem kraju, kocha głęboko kraj, dla którego złoży życie i mienie. Przejdźmy męczące fragmenty tego procesu po kolei.

Na plan pierwszy wysuwa się kwestia targów w prowadzonych przestępstwach. Przeciętny obywatel, płatnik podatków, nie znał praktyk stosowanych przez władze skarbowe, nie wiedział kto wymierzał grzywny na niesumiennych podatników. Dowiadujemy się, że w cichych, wysłanych puszystymi dywanami gabinetach Departamentu Podatkowego odbywały się ciche rozmowy między władzami Ministerstwa a niesumiennymi podatnikami. My tego zrozumieć nie możemy, my prawnicy wiemy, że jeżeli jest przestępstwo, to trzeba za nie zapłacić albo pieniędzmi albo wolnością.

Gdy jest przestępstwo, to po nim następuje kara, targów żadnych nie ma.

Tym bardziej targów nie ma na ulicy Miodowej pod numerem 15-tym, gdzie Warszawski Sąd Okręgowy wydaje sprawiedliwe wyroki w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej. I pytam, — pytam jako patriota, jako Polak, jako Europejczyk, jako prawnik przede wszystkim — czy to są godziwe kryteria, jeżeli ktoś ze względu na jego stanowisko socjalne odsuwa się od kary, jak to miało miejsce w sprawie Wasserbergerów i Mazura?

Wniosek, złożony Ministrowi Skarbu przez dyr. Lubowickiego, mówi o postaci społecznej grupy współwłaścicieli, mającą na myśli 3-ch Wasserbergerów krakowskich i jednego Eliasza Mazura.

Nieznana nam jest działalność społeczna pp. Wasserbergerów, nieznane są zasługi społeczne dla kraju, a czyż stanowisko p. Eliasza Mazura, odpowiedzialnego Prezesa Gminy Żydowskiej, jest tytułem, aby darować winy jeżeli zgrzeszy wobec państwa? To nie jest tytuł, aby Ministerstwo Skarbu dla tych osób miało inne ustawy. Artykuł 244 K. K. przewiduje, że władza, skoro dowie się o przestępstwie, winna niezwłocznie zawiadomić prokuratora. Przestępstwo Mazura i tych, o których dowiedzieliśmy się, podlegały zarówno pod art. 281 K. K., który mówi o fałszowaniu ksiąg, jak i pod art. 264, który dotyczy przestępstwa — bo oszustwa.

Tej kary nie wymierzono w sposób właściwy i przewidziany przez prawo. Nadto panowie ci dokonywali całego szeregu siucht buchalteryjnych na szkodę innych osób zainteresowanych w przemyśle drożdżowym. Dopuścili się oszustwa i to im też darowano — to była pierwsza kwestia męcząca w tym procesie.

Idziemy dalej — Panowie Sędziowie. Na początku tego procesu osoba, sprawująca jedno z wyższych stanowisk w zarządzie państwowym, osoba biorąca udział w procesie — pan wice-minister Świtalski w sposób lekceważący wyraził się o jednym z urzędników, mówiąc, że urzędnik, świadek Święszkowski jest konstytucjonalnym neuropsychopatą, w 70% niezdolnym do pracy. Niewątpliwie jest duża przepaść która dzieli podsekretarza stanu Ministerstwa Skarbu od znanego nam wychowanka Seminarium Duchownego, ale przychodzi świadek wiarogodny, pewny, któremu sąd wierzy, i okazuje się, że ten konstytucjonalny neuropsychopata, że ten 70% wariat był osobą, która przez dłuższy czas wymierzała nam — obywatelom podatki. Mówili o nim Dyr. Turyczyn, p. Zenczykowski, sędzia śledczy Kleinert. Pan Turczyn zarzucał mu zbytnią podejrzliwość, pan Zenczykowski nic o nim złego nie powiedział, ze współpracy z nim był raczej zadowolony. Wreszcie przyszedł człowiek, którego zeznania budziły 100% zaufania u was, Panowie Sędziowie. Przyszedł sędzia śledczy do spraw szczególnej wagi pan Kleinert i powiedział, że w aferze Michalskiego informacje, uzyskane od Święszkowskiego, w 80% zostały potwierdzone.

Ten pan Święszkowski, ten 70% wariat, ten konstytucjonalny neuropsychopata, złożył nam świadectwo światowej sławy uczonego dra Nelkena, że jest człowiekiem normalnym, — pracuje w Biurze Personalnym. Ale nas męczy zagadnienie, dlaczego wówczas pan wice-minister Świtalski uznał za wariata, kiedy ten człowiek pracuje dobrze? I to była druga kwestia męcząca.

Męczącym dla nas było to, że proces ten charakteryzują rozmaite niedomówienia, niedociągnięcia. Na tej sali mówiono, zasłaniając usta. Przebywaliśmy w sferze domysłów i przypuszczeń; mówiono tu o siłach tajemnych, które spowodowały ten proces, mówiono o nieznanych czynnikach, które przeszkadzały wystąpić na drogę sądową. Cóż to były za siły tajemne — pytam — Żydzi czy masoni?

Okazało się, że jedną z tych sił był były dyrektor Biura Personalnego, obecny dyrektor Izby Skarbowej pan Drojanowski. Nazwisko to wykrztusił pan Dyr. Sieradzki, nazwisko to wspominał pan wice-minister Świtalski, komunikując panu Prokuratorowi, że Antoni Lubowidzki i Dyr. Drojanowski pochodzą z Mławy.

To są rzeczy dla nas niezrozumiałe, to są rzeczy dziwne, to są rzeczy męczące.

A czyż niezrozumiały fakt poszukiwań w gabinecie zwierzchnika nie jest męczący? Mam na myśli poszukiwanie aktów Michalskiego, o których tyle mówiono, aktów dochodzenia prowadzonego przez pana Rzadkiewicza. Czyż jest do pomyślenia, żeby korzystając z opóźnienia zwierzchnika dokonywać rewizji i poszukiwań po półkach i zakamarkach gabinetu swego przełożonego?

Męczącym było to, że jeden z panów oskarżycieli prywatnych pan Dyr. Sieradzki na swych kolegów, czynnych urzędników Ministerstwa Skarbu rzucił straszne podejrzenie, że gdy przyjdą zeznawać to skłamią. Taki zarzut rzucony przez byłego urzędnika sądowego, przez podprokuratora, nie może mi się, jako prawnikowi, w głowie pomieścić.

Panowie Sędziowie, przyszedł tutaj człowiek, któremu każdy z nas wierzy — Mjr. Zieliński i snuł przed nami smutną opowieść, że Ministerstwem rządziły towarzystwa wzajemnej pomocy, mafie i mafijki. Pan mjr. Zieliński, człowiek prosty, nie zawahał się określić ich jako towarzystwa wzajemnej pomocy.

Gdy na wstępie występowałem przeciwko panu Lubowickiemu, to w tym miejscu z całą przyjemnością chcę stwierdzić, że pan mjr. Zieliński p. Dyr. Lubowickiego z tego towarzystwa wyłączył.

Oto są przykłady zaczerpnięte przeze mnie z 6-ciodniowego przewodu sądowego. Przykład, które stanowią moją odpowiedź, dla kogo proces był męczący. Proces ten był męczący dla wszystkich obywateli tego państwa, którym na sercu leży dobro i wspaniała przyszłość Ojczyzny.

Przechodzę, Panowie Sędziowie, do obrony właściwej. Mitznerowi i Gaikowi zarzuca się czyny wymienione w 1 i 2 art. oskarżenia. Sprawy te łączą się ze zniesławieniem panów: Lubowickiego, Rzadkiewicza, Sieradzkiego i Allanda. Gdy chodzi o p. dyr. Lubowickiego — to rachunki mamy zamknięte. Pismo, którego redaktorami są moi klienci, zarzuty skierowane przeciwko p. dyr. Lubowickiemu odwołało, nie chcąc go krzywdzić, lojalnie z oświadczeniem autora. Pan Lubowicki zeznając w charakterze świadka okoliczności te przyznał i oświadczył, że do nas żadnych pretensyj nie ma.. Jeżeli chodzi o pana Dyr. Rzadkiewicza— to podnieść należy z mojej strony, że oskarżony Lubowidzki jeszcze przed zamknięciem przewodu sądowego pana Rzadkiewicza przeprosił. Obowiązuje to i nas, bowiem my jako dziennikarze, jako autorzy odgrywamy tu rolę wtórną. Jako prawnik, jako obrońca, podnieść muszę, że w artykułach, w których była mowa o panu Rzadkiewiczu nie twierdzono by to on właśnie, pan dyr. Rzadkiewicz miał wyciąć jakieś dowody z aktów Michalskiego, by miał je zniszczyć, w odpowiednim ustępie jest wyraźne przypuszczenie, że ponoć ktoś owe dokumenty usunął. Zarzutu więc nie skierowano pod adresem pana Dyr. Rzadkiewicza i nie może to być uznane za zniesławienie.

Ale gdy jesteśmy przy osobie p. dyr. Rzadkiewicza, to podnieść muszę, że skromnym moim zdaniem p. dyr. Rzadkiewicz nie wywiązał się z zobowiązania p. sędziego Kleinerta. Nie wszczął sprawy dyscyplinarnej przeciwko Michalskiemu. Sprawę dyscyplinowaną wszczęto wówczas, gdy śledztwo pana sędziego Kleinerta było zaawansowane. Akta dochodzenia sporządzone przez p. dyr. Rzadkiewicza, Pothsa, roli nie odegrały w tej sprawie— chociaż powinny były odegrać. Pan dyr. Jakubowski, który sprawę tę prowadził, miał do dyspozycji swoje akta i akta p. sędziego Kleinerta. Akta, o które prosił pan sędzia Kleinert w procesie Michalskiego, nie odegrały żadnej roli. Dzięki tej dziwnej metodzie prowadzenia dochodzenia, — metodzie specjalnej — pan Michalski, siedząc już w więzieniu, otrzymywał swoje pobory; co prawda zmniejszone o 50%, ale człowiek, który tak zgrzeszył, jak Michalski, nie powinien był ani grosza po wyjaśnieniu jego smutnej roli otrzymać. Dopiero późniejsze zarządzenie zlikwidowało ten niemoralny stan rzeczy. I w tym jest wina p. dyr. Rzadkiewicza.

Przechodzę do sprawy p. dyr. Sieradzkiego. Fakt, opowiedziany przez pana sędziego Kleinerta, jak mi się wydaje, w całości miał potwierdzić zarzuty — powiem więcej, w tym punkcie podjąłbym się bronić moich klientów nawet jeszcze przed rozpoczęciem przewodu sądowego, bowiem dowód prawdy został w 90% przeprowadzony przez pana Prokuratora w akcie oskarżenia, który on sporządził. Stan rzeczy przedstawiony w „Tygodniu Robotnika" w całości pokrywa się z tym, co ustalił przewód sądowy. Kolej rzeczy była następująca: jeżeli chodzi o p. Sieradzkiego, p. sędzia Kleinert ustalił o jakie akta chodzi — bo akta te były bezimienne. Pan Sieradzki zobowiązuje się akta dostarczyć natychmiast, bo zwłoka grozi niebezpieczeństwem.

I zaczynają się dziać dziwne rzeczy, w miejsce aktów Michalskiego otrzymuje p. sędzia Kleinert akta Majdego. Akta te nie mają nic wspólnego ze sprawą Michalskiego i dochodzenie w tej sprawie prowadził ktoś inny nie p. dyr. Rzadkiewicz. Telefony nie pomagają. Widząc, że w ten sposób nic nie zrobi, p. sędzia Kleinert udaje się o 2-ej po południu do pana Ministra Skarbu i prosi o interwencję. Wizyta ta okazała się skuteczną, akta, o które chodziło, o 9-tej rano znalazły się na Nowym Zjeździe w gabinecie p. sędziego Kleinerta.

Jak się to stało, jakie zaszły wypadki, możemy o tym się przekonać, zestawiając zeznania pp. Węgrzynowskiego, sędziego Kleinerta i mjr. Zielińskiego, oraz dwóch urzędników pana Jaksza i pani Kryckiej.

Otóż z tyłu za biurkiem stała skromna etażerka, otók w toku swego urzędowania na etażerce p. Mjr. Zieliński nie gospodarował.

Pan Węgrzynowski powiedział nam, że wszystkie ważniejsze akta przekazał swemu następcy p. mjr. Zielińskiemu. P. Zieliński, który był homo novus na terenie Ministerstwa akta te oddał p. dyr. Sieradzkiemu na biuro. P. Węgrzynowski twierdzi, że na etażerce były bezwartościowe szpargały. P. mjr. Zieliński pogląd ten potwierdził, że był to „podręczny bałaganik", do którego on wcale nie zaglądał w toku urzędowania i sam tam również żadnych aktów nie kładł. Woźny jedynie, mało dbając o ścieranie kurzu na owych szpargałkach pozostawionych przez dyr. Węgrzynowskiego, kładł stosy gazet i wydawnictw oficjalnych zapewne nie potrzebnych p. mjr. Zielińskiemu.

Akta, o które chodziło, znalazły się wówczas, gdy przed 8 rano w gabinecie mjr. Zielińskiego złożyli tajemniczą wizytę państwo Jaksz i Krycka.

Pytanie moje, skierowane do p. mjr. Zielińskiego, pytanie moje zmierzające do tego, jaki p. mjr. Zieliński wyciągnął wniosek, zostało przez pana Przewodniczącego uchylone, sądzę, że zostało uchylone słusznie, bowiem wnioski z zestawienia, które jest niezbite, wyciągnie sąd, a wyciągnie w sposób trafny, i odpowie nam na pytanie, dlaczego p. Sieradzki tak „prędko" owe akty na etażerce w gabinecie swego zwierzchnika „znalazł".

Pozostaje do omówienia p. inspektor ministerialny Alland.

Pan Suryn być może nie był członkiem zarządu lub Rady Nadzorczej w Zrzeszeniu Producentów Drożdży, był jednak szarą eminencją, reprezentującą — nie wiadomo — własne czy też cudze interesy. Jak domyślać się można było z danych procesu, rola jego polegała na tym, że był łącznikiem między Zrzeszeniem Producentów Drożdży a Zjednoczeniem Spirytusowym. Dochodzenie władz otrzymało informacje, że p. Suryn przechowuje ważne dokumenty. Przychodzą na miejsce urzędnicy skarbowi z p. Ruszkowskim na czele, skierowani przez p. Bernharda, urzędnika Izby Skarbowej Grodzkiej, którego już poznaliśmy.

Nie mówmy w tej chwili o przykrościach, jakich doznała przy „oględzinach", jak to mówi się w Ministerstwie, pani Skarżyńska, sekretarka p. Sułowskiego, kwestia torebki jest dla nas zupełnie obojętna, ważną natomiast rzeczą jest to, że pan Ruszkowski w biurku p. Suryna czy p. Zienkiewicza

znalazł dokutenty stwierdzające, że między kartelem drożdżowym a kartelem spirytusowym były dokonywane jakieś przelewy gotówkowe.

Do siedziby przy ul. Traugutta 11 przybywa p. inspektor ministerialny Alland.

Odbywa krótką rozmowę z p. Sułowskim, poczym nakazuje Ruszkowskiemu, który musi być p. Allandowi posłuszny, sporządzenie protokułu, który jest w całości zacytowany w akcie oskarżenia. W protokule, wbrew prawdzie, p. Ruszkowski pod dyktando zmuszony był napisać, że podczas rewizji nic nie znaleziono, a gęsto z tego się tłumaczy, w raporcie, który również jest cytowany przez p. Prokuratora, w jego akcie oskarżenia. Trudno tutaj przerzucić winę na p. Ruszkowskiego za to, że nie sporządził odpisu z dokumentów, ale to nie jest stanowisko poważne, przecież odpis musi być uwierzytelniony. Już my adwokaci wiemy, co znaczy odpis uwierzytelniony.

Mnie się zdaje, że p. insp. Alland osobiście winien nie jest, nie chcę rzucać podejrzenia, — ja nie wiem czy winien jest p. Staniszewski, czy ktoś obok nad panem Staniszewskim stojący. Nie znając kulis sprawy, nie będą o nich mówił, nie mając danych w ręku. Nie wolno mówić mi o kimkolwiek, skoro widzę p. Allanda w charakterze „redaktora odpowiedzialnego". Stwierdzić muszę, że zarzuty, skierowane pod adresem p. inspektora ministerialnego Allanda, były słuszne i potwierdzone przez przewód sądowy.

Dlatego tu zniesławienia, p. inspektora ministerialnego Allanda, nie ma.

Szanowni Panowie Sędziowie, zbliżamy się do końca. Chciałbym oświadczyć, że byłbym szczęśliwy gdyby tego procesu nie było. Redakcja, której bronię, wykazała duże ostrożności w tej sprawie. Bo przecież były długie rozmowy pomiędzy redaktorem naczelnym a p. A. Lubowidzkim, zanim zdecydowano się umieścić jego informacje. Skreślano przy tym całe ustępy. Wydrukowano dopiero wtenczas, gdy p. Lubowidzki powołał się na należyte osoby. Żałuję, że jest to tajemnica redakcyjna, że nazwisk tych nie można rzucić na stół sędziowski, bo chciałbym, jako obrońca, aby cała ta sprawa została w całości obnażona.

Stwierdzam, że wyrok, jaki zapadnie w tej sprawie, może być dla nas obojętny.

Pan Prokurator występował w tej sprawie, czyniąc to z urzędu, z ustawowego obowiązku, a oskarżeni działali z nakazu obywatelskiego sumienia, w obronie dobrze zrozumianego interesu publicznego.

Panowie Sędziowie, przez okres sześciu pracowitych dni, do mnie i do moich kolegów, zgłaszały się całe szeregi osób, które przynosiły nam wiadomości na pierwszy rzut oka niewiarygodne, ale które w tym procesie wydają się prawdziwe. Mówiono nam o krzywdach urzędników i innych obywateli. Niestety, musieliśmy ich odsyłać gdzie indziej, bo jako prawnicy wiedzieliśmy, że proces ma wykreślone ramy, których nie wolno nam rozszerzać.

Ludzi tych musieliśmy odsyłać na inną drogę, tłumacząc, że w tym procesie, niestety, w niczym pomóc nie możemy.

Proces ten otworzył na przestrzał okna w dusznym gmachu Ministerstwa Skarbu przy Rymarskiej; wierzę, że do gmachu tego wejdzie strumień świeżego, ożywczego powietrza, który oczyści atmosferę jaka tam panowała.

To się stało, lub się stanie. A jeżeli tak, to śmiało powiedzieć możemy, że proces ten — skoro działaliśmy w obronie interesu publicznego — w takich warunkach i dla takich przyczyn wygraliśmy, i obojętną może być treść wyroku.

Z tej sali wyjdziemy zwycięsko, bo walczyliśmy o zasady, walczyliśmy o moralność i wydaje mi się, że te zasady odniosły zwycięstwo, a jeżeli one zwyciężyły, — to zwyciężyli obywatele.

Szanowni Panowie Sędziowie, kryteriami, jakie przy obradach Waszych nad wyrokiem stosujecie są: przepisy prawa i wasze sumienie. Rozumiem i wierzę, że do tych dwuch elementów dodacie trzeci: Wasze poczucie obywatelskie. Wierzę zatym głęboko, że wyrok w tej sprawie wydany, będzie owiany duchem obywatelskim, który płynąć będzie z nakazu Waszego głębokiego sumienia. Mam honor prosić o uniewinnienie oskarżonych Mitznera i Gaika.

REPLIKA.

Zabiera ponownie głos, po pierwsze dla dwóch konstatacji i po drugie dla dwóch zdań jakie chcę skierować pod adresem p. Prokuratora.

W odpowiedzi więc Szanownemu p. Koledze Berlandowi — pomijając ognistą część jego przemówienia, oświadczam, że skierowany pod adresem jego klienta pana dyr. Sieradzkiego zarzut braku dżentelmencrii w stosunku do swych kolegów, chętnie cofnę, jeżeli p. Sieradzki najdalej w poniedziałek 30 sierpnia wniesie do Prokuratury Warszawskiej doniesienie karne przeciwko panu Grabskiemu z art. 140 K. K. o fałszywym zeznaniu. — Jeżeli to nie nastąpi, z żalem prawdziwym zmuszony będę zarzut swój podtrzymywać. Oświadczam to publicznie i chętnie poniosę wszelkie konsekwencje tego oświadczenia. Pan Prokurator myli się sądząc, że proces ten da się wtłoczyć w wąskie ramy proceduralne. Nam rzeczywiście nie chodzi w tym procesie o wyrok skazujący lub uniewinniający, ale wiemy również, że proces ten, że wyrok ten zakończy raz na zawsze te smutne rzeczy, raz na zawsze potępi te wszystkie anomalie, wykluczy raz na zawsze te możliwości, żeby jakiś p. Kindler mógł w przyszłości powiedzieć o dyrektorze departamentu, że „my tam mamy naszego Lubowidzkiego". Pan Lubowidzki nie jest „naszym panem Lubowidzkim" — jest urzędnikiem państwowym. Sądzę, żeproces ten wykaże, że tego rodzaju odezwanie się reprezentanta wielkiego przemysłu będzie wykluczone.

Pan senator Karszo-Siedlewski mówił do pana Sidora, , że Ministerstwo Skarbu jemu nic nie zrobi, bo on jest doradcą pani Aleksandry Piłsudskiej.

Proces ten, Panowie Sędziowie, będzie dla tego pożyteczny, bo wyrok musi potępić tego rodzaju postępowanie.. Proces ten więc raz na zawsze musi wykluczyć,by kiedykolwiek jeszcze jakiś senator Rzeczypospolitej mógł w obronie swego zagrożonego interesu prywatnego powoływać się na imię, które stało się drogie każdemu Polakowi.

GŁOSY I ODGŁOSY

RZĄDY MINISTRA FINANSÓW

Właśnie wygasają pełnomocnictwa jakie otrzymał rząd p. Chautemps. Objął on władzę w chwili niezmiernie trudnej ze względu na pietrzące się zagadnienia walutowe i gospodarcze, przede wszystkim ze względu na pustki w skarbie. Oczywiście niemożliwością było w ciągu kilku miesięcy wyprowadzić finanse Francji na czyste wody. P. Bonnet, minister skarbu, nie stara się zresztą w nikogo wmówić, że sytuacja jest różowa. Przeciwnie, oświadczył, że bez podniesienia gospodarczego, waluty utrzymać się nie da. Z kolei podniesienie gospodarcze wymaga zorganizowanej akcji, a przede wszystkim określonego planu. Bowiem obecna produkcja francuska nie pozostawia złudzeń. P. Bonnet stwierdza: „smutno pomyśleć, że w rozmaitych dziedzinach produkcja francuska nie jest w stanie odpowiadać potrzebom rynku zewnętrznego, które dawniej normalnie zaspakajała.

Realność polityki p. Bonnet najlepiej stwierdzają ogłoszone ostanio na postawie pełnomocnictw dekrety. Pierwszym i najważniejszym z nich jest ankieta nad produkcją, czyli zbadanie jej stanu obecnego, jej potrzeb i jej możliwości. Bez tego pierwszego punktu wszelka akcja musi nosić charakter tymczasowości.

Dalsze dekrety logicznie wypływają z pierwszego. A więc „zbadanie środków produkcji ukaże konieczność przystosowania urządzeń przemysłowych — mówi punkt drugi — „Przystosowanie to będzie ułatwione dzięki pomocy finansowej państwa". Punkt trzeci mówi o konieczności popierania budownictwa. I tutaj państwo musi iść na rękę inicjatywie prywatnej. Inne znowu dekrety mają na celu zorganizowanie wymiany handlowej z koloniami.

GOSPODARKA PLANOWA

Przeciętnego czytelnika gazet musi zdumiewać kontrast między polityką obecnego rządu, a polityką rządu p. Bluma. A raczej kontrast klimatów w jakich się działanie tych rządów obracały i kontrast reakcji jakie napotykały w społeczeństwie. Dalej przecież władzę dzierży Front Ludowy, a przesunięcia w rządzie po upadku premiera Bluma były zgoła nie wielkie.

Przyczyn tej sprzeczności należy szukać w umysłowości Francuzów, którzy choć bardzo przywiązani do ideałów liberalnych, zdają sobie naogół dość dobrze sprawę, że bez realnych podstaw ekonomicznych każda doktryna jest równie obojętna, a raczej równie zła. To też poddali się bez szemrania dyktaturze finansowej p. Bonneta, tym bardziej, że ten ostatni nie stara się ich oszołomić wielkimi, a nic nie mówiącymi frazesami. Politykę jego można określić w paru słowach:

Najpierw zbadać rzeczywiste potrzeby gospodarstwa narodowego. Następnie ustalić plan akcji. Wreszcie według planu tego działać.

PROPOZYCJE KOMUNISTÓW

Obecnie niema we Francji miejsca na posunięcia polityki demagogicznej. Toteż nastąpiło znaczne uspokojenie roznamiętnienia politycznego. Nie znaczy to, by partia zawiesiła wszelką działalność. Jednakże nie starają się już narzucać swoich doktryn ogółowi. Dążą przede wszystkim do własnej konsolidacji wewnętrznej.

Ciekawym etapem owych cichych walk jest korespondencja jaką wymieniły ze sobą partie socjalistyczna i komunistyczna. Ta ostatnia widząc, że stwarzaniem incydentów ulicznych, prowokowaniem strajków i płomiennymi hasłami wiele nie osiągnie, stara się urość w siłę przez opanowanie partii socjalistycznej od wewnątrz. Zabrała się do tego w sposób niewinny, proponując socjalistom porozumienie na tej prostej podstawie, że tam gdzie ideologie są identyczne, tam istnienie dwóch partii jest właściwie zbędne.

Natychmiast też przygotowała plan wspólnej pracy, sięgający we wszystkie dziedziny partyjnego działania. A więc wspólne, dwa razy na miesiąc urządzane zebrania stałej komisji administracyjnej partii socjalistycznej i komitetu centralnego partii komunistycznej; wspólna akcja posłów parlamentarnych na podstawie ciągłego porozumiewania się; wspólna działalność propagandowa oparta na środkach propagandy obu partii; a nawet współpraca dziennikarzy komunistycznym w socjalistycznym „Populaire" i dziennikarzy socjalistycznych w komunistycznej „Humanité", współpraca rozciągnięta także na gazety prowincjonalne; wreszcie współdziałanie w wyborach kantonalnych i wszelkich innych dodatkowych.

Jednym słowem zupełne zlanie się obu partii w jedną jedyną. Przy tym komuniści zgadzają się na wszelkie postulaty socjalistyczne, odrzekające się wszelkich dążeń opartych na wzorach moskiewskich. Poprostu baranki marzące tylko o pokoju powszechnym i wolności indywidualnej każdego obywatela, jak najbardziej dalekie od słuchania dyrektyw ze wschodu.

I ODPOWIEDŹ SOCJALISTÓW

Socjaliści nie skorzystali z okazji, by przygarnąć zbłąkaną i proszącą o trochę miłości owieczkę.

P. Paul Faure, sekretarz generalny partii socjalistycznej odpowiedział:

„Drodzy towarzysze, podaję do waszej wiadomości, że nie możemy się zgodzić na propozycje jakieście nam uczynili co do metod unifikacji naszych dwóch partii, gdyż te propozycje są w zupełnej sprzeczności z decyzjami naszego kongresu w Marsylii..."

Odrzuciwszy tak energiczne plany komunistyczne, socjaliści proponują jedynie opracowanie przez specjalną komisję projektu ogólnego ustroju przyszłej partii zjednoczonej i projektu „statutu tej partii, zapewniającego demokrację na wszystkich szczeblach organizacji i absolutną nadrzędność władzy kongresów narodowych".

Te dopiero projekty byłyby przedstawione socjalistycznym sekcjom, federacjom i nadzwyczajnemu kongresowi narodowemu, któreby zdecydowały czy owe projekty mają mieć jakąś przyszłość, czy też nadają się jedynie do złożenia w aktach.

Z odpowiedzi tej jasno wynika, że socjaliści ani trochę nie pragną złączenia z komunistami, że boją się by ich nie spotkał los syndykatów do których zupełnego skomunizowania dała sygnał właśnie podobna „jedność". Nieodrzucenie z miejsca samej idei zjednoczonej partii, należy położyć na karb konieczności liczenia się z masami mniej uświadomionymi co do rzeczywistych aspiracji komunizmu.

Niezmiernie charakterystyczne jest kilkakrotne podkreślenie w odpowiedzi p. Paul Faure słowa „narodowy", podkreślenie odcinające się stanowczo od wprowadzania celów polityki Z. S. R. R. do spraw wewnętrznych Francji.

OSOBLIWE METODY PRACY

Jeśli roznamiętnienie polityczne ustąpiło miejsca polityce realnej w sprawach dotyczących ministerstwa skarbu, nie można tego samego powiedzieć o innych dziedzinach życia. Niedawno odbył się narodowy kongres syndykatu nauczycieli. Stał on pod znakiem pacyfizmu, jednak nie pacyfizmu integralnego, to znaczy nieuznającego w żadnym wypadku konieczności wojny. Drugą charakterystyczną cechą kongresu były jego tendencje przeciw komunizmowi.

„Odnosimy się nieufnie do komunistów — mówił jeden z delegatów wysłannikowi „Journal'a" — gdyż uważają naszą organizację za teren propagandy wojennej (w obronie czerwonej Hiszpanii). I jak znosić wszechwładzę partii tak kapryśnej w swych piruetach, natchnieniach mistycznych i zmianach nastroju, zbyt często regulowanych przez Moskwę! Sprzeciwiamy się zażarcie wciągnięciu w ryzyko interwencji. Chcemy pokoju!"

Ciekawszym jednak dla nas od takich lub innych tendencji kongresu jest fakt, że delegaci nauczycielstwa cztery piąte swych obrad poświęcili problemom politycznym. Każda dyskusja merytoryczna schodziła natychmiast na tory polityki. Jeden z delegatów tak usprawiedliwia ową sytuację: „Wiem dobrze, że część opinii publicznej zarzuca nam zaniedbywanie na naszych kongresach problemów ściśle pedagogicznych, które zdawało by się jedynie powinny nas zajmować".

„Pierwszy boleję, że tak być nie może, ale w czasach dramatycznych w których żyjemy, należy najpierw zaatakować problemy polityczne i społeczne. Gdy sytuacja będzie ustabilizowana, gdy nowe społeczeństwo będzie wreszcie zorganizowane, wtedy nasze kongresy będą mogły się stać ściśle fachowymi".

Można się obawiać, że podobne metody działania do owego ustabilizowania nie doprowadzą... nigdy. A gdyby wreszcie ktoś kiedyś mocną ręką ukrócił gadające bractwo, musiałby chyba obecnych luminarzy meetingowych rozpędzić na cztery wiatry, bo w ich rzeczywistą chęć pracy uwierzyć trudno.

POKŁOSIE PROCESU

Echa procesu nie kazały długo na siebie czekać. Stanowisko nasze, że przewentylowanie niektórych zakamarków przez opinię publiczną będzie z korzyścią dla sprawy, Ministerstwa i samej opinii — sprawdziły się. Cytujemy tu wywody „Czasu" z dn. 2 b. m. pod tytułem: *„Sprawa Mazurów"* oparte na wynikach przewodu sądowego.

„...dla uczciwej publicystyki polskiej otwarte zostało szerokie pole do spełnienia obowiązku dostarczenia społeczeństwu właściwych stwierdzeń i refleksji z procesów tych płynących. Stwierdzenia te, nie wszystkie będą przyjemne, jak chociażby sprawa, którą za chwilę poruszymy. Z całym jednak poczuciem odpowiedzialności decydujemy się ją przedstawić przed forum publicznym, gdyż wymaga tego, zdaniem naszym, nietyle naruszona, ile obrażona moralność publiczna, wymaga wreszcie zasada równości wszystkich obywateli.

Jest to sprawa Mazurów i ich łuszczarni ryżu, ściśle mówiąc sprawa Eljasza Mazura i jego wspólników. Dla należytej oceny sprawy Mazurów, nie wystarczy przypomnieć ujawnionego publicznie, dopiero w toku procesu A. Lubowidzkiego, faktu milionowych nadużyć podatkowych, polegających na prowadzeniu przez Mazurów podwójnych ksiąg. Trzeba cofnąć się daleko w tył i przypomnieć kim byli i czym obecnie są Mazurowie w rzeczywistości polskiej; w jaki sposób dorobili się wielomilionowych fortun i jakimi dzisiaj cieszą się przywilejami.

Mija już prawie 11 lat od chwili, kiedy w Gdyni wybudowaną została, na skutek zabiegów mało znanego wtedy Mazura i grupy finansistów żydowskich, wielka łuszczarnia ryżu. Była to radosna i cenna dla Gdyni inwestycja, zwłaszcza, że głównym zadaniem łuszczarni miało być przyciągnięcie do młodego portu odpowiedniego tonażu przez tak zwany obrót uszlachetniający, t. j. import surowego ziarna ryżu, który po wyłuszczeniu i wypolerowaniu miał być przedmiotem reeksportu do innych krajów. Tę koncepcję podnoszącą nasz port musiał poprzeć i rząd i społeczeństwo i nikt nie mógł sobie zdać należytej sprawy, że jednak koncepcja Mazurów nie była szczera. Krył się bowiem poza nią zamiar nie tylko monopolistycznego opanowania handlu ryżem na terenie Polski, ale i zalania kraju ryżem i osiągnięcie szybkich i nadmiernych zysków, wynikających właśnie z przywilejów faktycznego monopolu obrotu ryżem. To wszystko wyszło na jaw z wolna dopiero po uzyskaniu przez Mazurów koncesji i po wybudowaniu i uruchomieniu łuszczarni. W praktyce łuszczarnia zaczęła coraz bardziej odbiegać od swego zasadniczego założenia i przeznaczenia i ryż łuszczony zamiast stać się przedmiotem reeksportu zaczął zalewać rynek polski, docierając dzięki przemożnym stosunkom handlu żydowskiego nawet do zapadłych wiosek kresowych, wypierając polską kaszę, grykę i proso i paraliżując wysiłki rolników, zmierzające w kierunku zwiększenia konsumcji polskich produktów. Od wielu też lat wszystkie organizacje rolnicze stale i zgodnie domagały się i domagają nadal pozbawienia ryżu przywilejów na rynku polskim, jak dotąd jednak przemożne wpływy Mazurów są silniejsze, niż stanowisko całego rolnictwa. Tak więc z oczywistą dla rolnictwa szkodą Mazurowie ciągną przez długi szereg lat ze społeczeństwa nadmierne zyski. Mazurowie nie zadawalniają się jednak tymi niebywałymi, jak na stosunki polskie zyskami — rozwielmożnieni i rozzuchwaleni specjalnymi przywilejami, sięgają i po zyski należne Skarbowi Państwa, dopuszczając się ciężkiego przestępstwa skarbowego.

Przed kilkoma miesiącami obiegła w związku z rewizją skarbową głucha wieść o nadużyciach skarbowych Mazurów i pojawiły się nawet pierwsze o tym notatki prasowe. Szybko jednak ucichły, gdy w prasie popularnej ukazało się twarde i zdecydowane oświadczenie Mazurów, że żadnych nadużyć skarbowych nie było, oraz, że winni rozgłaszania wiadomości o nadużyciach zostaną pociągnięci do odpowiedzialności sądowej!

Jak bezwstydnym, cynicznym i w żywe oczy kłamiącym było to ogłoszenie i jak urągającym dobrym obyczajom i poczuciu moralnemu społeczeństwa — można było ocenić dopiero niedawno, kiedy w toku sprawy sądowej A. Lubowidzkiego wyszło na jaw, że jednak były nadużycia, wskutek prowadzenia przez Mazurów polityki podwójnych ksiąg i że stwierdzono straty Państwa na 2 miliony złotych.

Ministerstwo Skarbu, kierując się widocznie względami fiskalnymi, zdaniem naszym, zbyt wąsko pojętymi wymierzyło Mazurom 2 i pół miliona złotych grzywny, godząc się przytym, tacitu consensu, nie tylko na zatajenie wobec opinii publicznej faktu nadużyć, ale i z uwagi na „pozycję społeczną" Eljasza Mazura na zapłacenie grzywny przez fikcyjnych, podstawionych osobników.

To załamanie Mazurów i ta maskarada budzić musi nie tylko największy niesmak, ale i niepokojące refleksje natury zarówno moralnej jak i fiskalnej!

Jakto? zawołać może obecnie każdy obywatel płacąc podatki: czy godności społeczne chronią przed ujawnieniem przestępstwa? czy też nakładają tym większą odpowiedzialność! Jakto? jeśli ktoś zarabiający na społeczeństwie o wiele za wielkie pieniądze, przyjdzie i rzucić może na stół skarbowy milionowe sumy — to wolny ma być od podejrzeń, to może ogłaszać publicznie, że przestępstwa nie było — to wobec niego stosuje się inną procedurę? Co nato powiedzieć mają uczciwi, lecz ze względu na różne trudności choćby natury kryzysowej (kryzysu ryż w Polsce nie przechodził) zalegający z podatkami płatnicy, którym egzekutor zlicytował warsztat pracy, lub na wsi zabrał przedostatnią krowę?

A zważmy dalej punkt widzenia ściśle skarbowy. Mamy poważne wątpliwości czy zastosowanie postępowania jak w wypadku Mazurów, przyczyni się do podniesienia moralności podatkowej? Nawet ściągnięcie tak wysokiej grzywny jak i 2 i pół miliona złotych wydaje się nam w końcowym efekcie bardzo wątpliwym dla Skarbu interesem. Przecież w wielu głowach różnych spekulantów w Polsce sposób załatwiania nadużyć Mazurów musi stać się niejako usprawiedliwieniem ich własnych nadużyć, może dać uzasadnioną nadzieję, że dorabiając się nieuczciwym sposobem przez szereg lat bezkarnie — nawet w wypadku wykrycia nadużyć będzie można się okupić i uratować nie tylko interesy, ale i godność społeczną, ale i honor i szacunek.

Nie! sprawa Mazurów złą rzeczy koleją się potoczyła i z każdego względu obrażać musi poczucie moralności, pomijając już fakt, że w dzisiejszych trudnych czasach jest również nad wyraz smutną i gorszącą. Właśnie w świetle faktu, że Mazurowie dorobili się na społeczeństwie polskim, dzięki przemożnym poparciom i monopolom różnego rodzaju — wielomilionowych fortun i że niezasłużenie zażywali dobrego imienia i wiele godności społecznych.

Dlatego też w oczach opinii polskiej sprawa Mazurów jeśli nie ma wywoływać przykrych odgłosów, jeśli nie ma być cytowaną jako symbol wszechmożności bogaczy i ustosunkowanych — nie może zakończyć się tylko na zapłaceniu przez nich 2 i pół miliona złotych grzywny".

PALCEM PO MAPIE

Tydzień ubiegły w polityce światowej minął bez większych wstrząsów, biorąc oczywiście pod uwagę, iż ludzie dostatecznie ogłuchali się z hukiem dział na hiszpańskim Dalekim Zachodzie i azjatyckim Dalekim Wschodzie, aby huk ten uznać za zjawisko omalże normalne.

Jednocześnie rozpoczęły się w Europie przedgenewskie manewry jesienne. Należy tu w pierwszym rzędzie wspomnieć o projektowanej niebawem rewizycie Mussoliniego w Niemczech w odpowiedzi na odwiedziny kanclerza Hitlera w Wenecji w r. 1934.

Jeśli chodzi o „dyplomatyczne wykształcenie salonowe", że użyjemy stylu znakomitego Wiecha — to przyznać wypada, że trzyletnia przestrzeń czasu pomiędzy wizytą, a rewizytą, jest wcale spora, zwłaszcza jeśli chodzi o państwa, leżące na jednej „osi" politycznej.

Mimo to, obu Fuehrerom napewno nie zbraknie tematu do rozmów. Mają oni ustalić między innymi taktykę w obliczu oczekiwanego na jesiennej sesji Zgromadzenia Ligi Narodów uroczystego pogrzebu Abisynii, a także zająć stanowisko wobec wyjątkowo trudnego porodu t. zw. „nowego Locarna", wreszcie zarówno Niemcom jak Włochom nasuwa się szereg nowych kłopotów... w związku z coraz bliższym zwycięstwem ich protegowanego w osobie generała Franco, który, jak się wydaje, ma dość wyraźny zamiar potraktowania opieki włosko-niemieckiej gratis.

Sprawa ta wygląda dość poważnie, zwłaszcza, że po zdobyciu Santander likwidacja frontu północno-hiszpańskiego jest kwestią paru tygodni, a wówczas generał Franco będzie mógł użyć wszystkich sił przeciwko Madrytowi, Walencji i Katalonii, gdzie „dekompozycja" wewnętrzna zaczyna bić nawet po niektóre rekordy środkowo-europejskie... Nic tedy dziwnego, że Włochy bardzo głośno zareklamowały tym razem bohaterstwo „Czarnych strzał" okazane w walkach o Santantedr. Jest to wyraźne wystawienie rachunku, nietyle może generałowi Franco ile Wielkiej Brytanii, która pragnie uczciwie podzielić z Włochami basen śródziemnomorski.

Owe wstępne przetargi odbywają się przy akompaniamencie torpedowania coraz to nowych statków przez tajemnicze łodzie podwodne, zapuszczające się aż pod Dardanele. Przez ten czas komitet londyński z całą powagą wysłuchał 69-stronicowego raportu holenderskiego admirała van Dulma w sprawie... usprawnienia systemu kontroli granic hiszpańskich. Biurokracja zaiste zaczyna być „mistrzynią życia"... międzynarodowego...

Na Dalekim Wschodzie Japończycy robią, co mogą, przyczem przejmują się podpisanym w międzyczasie chińsko-sowieckim paktem nieagresji o wiele mniej, aniżeli prasa europejska i „eurazjatycka" z „Naszym Przeglądem" na czele.

Co do samego paktu — Japończycy mają całkowitą rację; pakt nieagresji nie wnosi do stosunków chińsko-sowieckich żadnych nowych elementów, ponieważ, o ile nam wiadomo — państwa te nie miały zamiaru ze sobą wojować. Oczywiście — pakt ten jest wyraźną demonstracją antyjapońską, dokonaną wspólnie przez Moskwę i Nankin, jednak sytuacja Japonii byłaby o wiele groźniejsza, gdy zawarto zamiast paktu nieagresji — pakt wzajemnej pomocy. A do tego Sowiety najwyraźniej się nie kwapią, gdyż wolą pomagać Chinom pocichu i bez wiążących przyrzeczeń, zaś na jawną interwencję nie mogą sobie pozwolić, ze względu na „dekompozycję" wewnętrzną.

Co do spraw bliżej nas obchodzących — to w ubiegłym tygodniu polityka polska głównie zajmowała się Bałtykiem. Przyszła kolejna seria prowokacyj gdańskich, będących jeszcze, mówiąc stylem MSZ „w stadium załatwiania". Ponadto gościliśmy ministra spraw zagranicznych Szwecji p. Sandlera (daj Boże każdemu krajowi takich socjalistów), zaś 4 bm. przybywa do Warszawy kierownik polityki zagranicznej zaprzyjaźnionej Estonii p. minister Ackel.

Wreszcie — dość ciekawie wyglądają kulisy ostatniego zjazdu ministrów spraw zagranicznych Małej Ententy w Sinaia, gdzie wyraźnie zaznaczyło się odprężenie na odcinku rumuńsko-węgierskim, co nas, jako wspólnych przyjaciół obu narodów szczerze raduje.

Czechy tym razem straciły rok długoletniego prowodyra Małej Ententy i contre coeur powlokły się w ogonie realnej polityki Rumunii i Jugosławii.

Są to niewątpliwie optymistyczne objawy, wobec których wojny światowej w najbliższym czasie oczekiwać nie należy. (66)

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa 1, Al. Ujazdowskie 20 m. 7, tel. 7.11.97. Konto czekowe P. K. O. Nr. 25.544**

Numer pojedyńczy 30 gr. — prenumerata miesięczna 1 zł. — trzymiesięczna w kraju 2 zł. 50 gr. — zagranicą 4 zł. 50 gr.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Leon Borkowski**

Godziny przyjęć redakcji: 17 — 18 we wtorki, czwartki i soboty. Administracja czynna codziennie 9 — 17.

Cennik ogłoszeń: za tekstem 1/1 — 300 zł., 1/2 — 160 zł., 1/4 — 85 zł., 1/8 — 45 zł., 1/16 — 25 zł. Za wiersz milimetrowy — 70 gr. Układ tabelaryczny 50% drożej.

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10